

Ameryka zagłosowała

„Will America great again” to hasło towarzyszyło ostatnim wyborom prezydenckim w Stanach Zjednoczonych, które wygrał kandydat republikanów-Donald John Trump. Wybory te można nazwać swoistego rodzaju „cyrkiem”, patrząc na to, co wyprawiały amerykańskie i zagraniczne media oraz kandydaci, którzy oboje są tak godni zaufania niczym spółka Amber Gold, kiedy powierzało się jej swoje pieniądze.

Co do dwójki ubiegających się o najważniejszy prawdopodobnie urząd w XXI w., to prawdopodobnie mogliby sobie nie poradzić z funkcją przewodniczącego szkoły (na szczęście w USA większą rolę w zarządzaniu państwem odgrywa Kongres). Oboje mieli sporo „za uszami”.

Zacznijmy od niewinnej Hilary Clinton - żony byłego prezydenta Billa Clintona(który bardziej od żony umiłował sobie swoje sekretarki tudzież asystentki). Była kandydatem idealnym-charyzmatyczna, z doświadczeniem w polityce, w przeciwieństwie do Trumpa, mniej od niego kontrowersyjna, popierana przez gwiazdy światowego formatu (np. Rihanne czy Jennifer Lopez) oraz samego Baracka Obamę, wychodząca z otwartymi rękami do ludzi i zawsze z uśmiechem na ustach. Więc dlaczego nie została wybrana? Otóż dlatego, że bardziej sztucznego uśmiechu jak ona chyba mieć nie można. Trudno jest być także bardziej wychwalonym przez media, od czego zwykli obywatele zapewne miewali odruchy wymiotne. Dodatkowo Hilary podczas swojej kampanii mogła być, może nawet słusznie, posądzana o chorobę psychiczną, bo nikt mnie nie przekona, że takie tiki nerwowe podczas niektórych wywiadów to coś normalnego, jak również znikanie na parę godzin związane ze złym samopoczuciem. Oprócz tego były także afery z tzw. Pizza Gate oraz ze wcześniejszą znajomością pytań do debaty. Ale szalę goryczy przelało to, gdy mężczyzna ze sztabu Clinton kazał ludziom czekać parę godzin na końcowe wystąpienie „wielmożnej Hilary” po przegranych wyborach, kiedy ta znów „źle się poczuła”. To utwierdziło większość wyborców Trumpa w przekonaniu, że wybrali najlepiej jak tylko mogli, choć to było nie lada wyzwanie.

A co do Donalda Johna Trumpa, to wystartował on w tych wyborach zapewne kolokwialnie

mówiąc „dla jaj” i także dlatego, że ma już tyle pieniędzy, że nie zależy mu na niczym, a dzięki wygranej mógł uzyskać jeszcze większy rozgłos i sławę, którą kocha chyba bardziej niż dolary. Tak więc ten - łagodnie mówiąc - kontrowersyjny multimiliarder rozpoczął swoją kampanię, która opierała się na „radykałnych” poglądach, czego symbolem była chęć zbudowania muru na granicy amerykańsko- meksykańskiej (nadal się zastanawiam, czy to się stanie) oraz na deklaracji, że wtrąci on wszystkich polityków do więzienia. Wtedy „obiektywne” media zaczęły go porównywać do Hitlera i Putina, z którym rzekomo miał mieć przyjacielskie stosunki. Mimo to grupa zwolenników Trumpa zamiast się kurczyć powiększała się, gdyż gromadziła ludzi z podobnymi poglądami, którzy również mieli dość dotychczasowej polityki kraju i żądali zmian.

Jeszcze parę słów o „braku stronnictwa mediów”. Podczas kampanii wyborczej nie było takiego, które nie mieszałoby z błotem Trumpa i nie wychwalałoby Hilary Clinton. Natomiast po ogłoszeniu wyników wyborów sytuacja obróciła się o 180 stopni. Dziennikarze, np. TVN w Polsce, którzy szczególnie lubowali się w ciśnięciu Donalda Trumpa, zostali dyskretnie odsunięci od komentowania zdarzeń powyborczych i zastąpieni przez tych jakby bardziej obiektywnych (lepiej tutaj nie rzucać nazwiskami).

Kończąc mój wywód - Ameryka dokonała wyboru pomiędzy większym a mniejszym złem. Wybrała żywiołowość i niepoprawność, mówiąc „nie” hipokryzji i dwulicowości. Ja w tych wyborach na początku stronnictwa nie byłem, ale z czasem jak większość obywateli Stanów Zjednoczonych, również przychyliłem się w stronę tego ekscentrycznego miliardera, mając nadzieję, że dokona on zmian na lepsze w USA. Teraz tylko należy mieć nadzieję że „America will great again”.